

Prywatne miasto w dżungli

9 sierpnia 2011

Zapraszam mój naród do marzeń i życia w idealnym miejscu, bez przestępczości, na autonomicznym terytorium zaopatrzonym w najlepszy system edukacji i ochrony zdrowia” – mówił uroczyście prezydent Porfirio Lobo na konferencji prasowej 18 stycznia. Paul Romer może być usatysfakcjonowany.

„Błyskotliwy ekonomista” (to nie nasze określenie), wykładowca Stanford University, od lat przemierza świat, a szczególnie Afrykę, poszukując kraju, który zechce zastosować w praktyce jego teorię: „Główną przeszkodą w rozwoju biednych krajów są ‘złe normy’ narzucane inwestorom przez państwa. To ich zniechęca”. Należy więc zakładać na dziewiczych terenach „Charter cities” – miasta-modele, gdzie krajowi i zagraniczni inwestorzy zbudują fabryki i warsztaty, lecz również całą infrastrukturę – mieszkania, sklepy, szkoły, szpitale i inne usługi dla dotąd bezrobotnej siły roboczej. Taka enklawa musi mieć własne prawa, własne sądy, policję, samorząd i oczywiście nie będzie płacić podatków państwu.

Romer wzbudzał tylko kurtuazyjne zainteresowanie aż do stycznia 2011 r., kiedy Xavier Arguello, honduraski szef amerykańskiego koncernu handlu nieruchomościami Inter-Mac International spotkał się w Waszyngtonie z Juanem Orlando Hernandezem, przewodniczącym honduraskiego parlamentu. Ten ostatni zorganizował z kolei spotkanie Romera z prezydentem Lobo i jego współpracownikami w Miami.

Romer mówił o sukcesach w Hongkongu, Singapurze i specjalnych strefach ekonomicznych w Chinach. Istnieje wielka różnica w warunkach historycznych, geograficznych, gospodarczych i kulturowych między wschodnią Azją a Hondurasem, ale prezydent Lobo był zachwycony. 17 stycznia Rigoberto Chang Castillo, sekretarz generalny Kongresu, chwalił w telewizji model chiński, który „wyciągnął z biedy 400 mln osób. Inwestor

poszukuje miejsca, gdzie nie obowiązują krajowe prawa”.

Miesiąc później Kongres zmienił artykuł 304 konstytucji, na użytek przyszłego „modelowego miasta” o powierzchni 1000 kilometrów kw. (33 km na 33 km): do zdania „Tworzenie wyjątkowych organów prawnych jest zabronione” dodano „z wyjątkiem (sic!) przywilejów jurysdykcji Specjalnych Regionów Rozwoju (REDs)”.

Według dekretu, który reguluje funkcjonowanie „miast modelowych”, prawo Hondurasu, w tym prawo pracy, nie będzie w nim stosowane, poza dziedzinami dotyczącymi suwerenności (!), stosunków zagranicznych (choć REDs będą mogły podpisywać umowy i traktaty międzynarodowe), wyborów i wydawania dokumentów tożsamości. Na wypadek gdyby jakiś przyszły rząd zechciał to wszystko zmienić przewidziano, że „Systemy prawne w REDs muszą być (...) zatwierdzone przez większość dwóch trzecich Kongresu. Ten status konstytucyjny może być zmieniony czy zniesiony tylko decyzją takiej samej większości, po referendum wśród mieszkańców REDs”. Innymi słowy, reszta kraju nie będzie miała nic do powiedzenia!

Honduras jest związany ze Stanami Zjednoczonymi i Kanadą traktatem o wolnym handlu (TLC). Produkcja i eksport w kierunku tych krajów nie musi korzystać ani z Kanału Sueskiego, ani nawet Panamskiego. 2 marca w czasie wizyty w Tegucigalpie przewodniczący Interamerykańskiego Banku Rozwoju (BID) Luis Moreno gratulował prezydentowi Lobo: „BID wesprze te nowatorskie wysiłki, pierwszorzędnej wagi dla przyszłości Hondurasu.”

Ale jakiej przyszłości? Zakładając (ze sceptycznym uśmiechem), że praca, mieszkania, edukacja, ochrona zdrowia i bezpieczeństwo będą tam stały powyżej średniej, można być pewnym, że taka wyspa przywilejów przyciągnie setki tysięcy biedaków, którzy zechcą tam znaleźć pracę. Czy w takiej sytuacji trzeba będzie ochraniać to getto otaczając je wieżami strażniczymi i podłączonym do prądu drutem kolczastym? Kiedy

Lobo twierdzi, że „miasta-modele” stworzą „styl życia klasy A”, rozumie przez to konstytucyjne wprowadzenie dwóch kategorii obywateli?

Również druga, bardziej realistyczna hipoteza, nie wygląda optymistycznie. Przewodniczący Kongresu Hernandez mówił, że modelowe miasta „będą jak wielkie maquila (...) – będziemy przeżywać american dream w Hondurasie.” Problem w tym, że maquilas (fabryki podwykonawcze) nie bardzo przypominają marzenie, o którym mowa. Od początku lat 1990. w Tegucigalpie i San Pedro Sula są przede wszystkim znane z morderczej eksploatacji siły roboczej i przeszkód stawianym związkom zawodowym. Dzisiaj te przedsiębiorstwa masowo zwalniają pracowników zatrudnionych na stałe ogłaszając, że mogą być z powrotem zatrudnieni „na godziny” – tracą więc dotychczasowe, skromne prawa socjalne.

Celem „Chater City” nie jest oczywiście produkcja tekstyliów, jak w pierwszych maquilas, tylko wysoka technologia. Na pytanie czy Honduras dysponuje wysoko kwalifikowaną siłą roboczą, deputowany Rene Silvestri odpowiada z uśmiechem: „Będę uczciwy, nie mamy jej. Ale kiedy maquilas zaczynały, też nikt nie był przygotowany. Dziś pracuje tam 150 tys. ludzi”. Była deputowana Elvia Argentyna Valle wykazuje więcej realizmu – „Skoro REDs będą miały swoje prawa i biorąc pod uwagę wielkość inwestycji, Chińczycy sprowadzą Chińczyków, Koreańczycy Koreańczyków... niewiele stanowisk zostanie dla mieszkańców Hondurasu.”

Romer przewiduje, że ewentualni niezadowoleni będą mogli protestować nogami – odchodząc. A jeśli zechcą bronić swoich praw? „Miasto-model” wyklucza obecność związków zawodowych. A jeśli się zbuntują? Prywatna policja zaprowadzi porządek, wyjątkowy wymiar sprawiedliwości utnie dyskusje. A jeśli bunt się rozszerzy? Dlaczego nie sprowadzić korpusu ekspedycyjnego z Azji czy skądinąd, skoro ten kawałek terytorium nie podlega władzy państwowej?

Silvestri, z pewnością nie całkiem świadom znaczenia swojej wypowiedzi, głośno myśli podczas naszego spotkania 3 marca: „Oczywiście Singapur działa dobrze, bo jest państwem totalitarnym. Prezydent rządził 24 lata, teraz rządzi jego syn... Jest tam wiele struktur, których nie mamy. Adaptowanie tego modelu do naszej rzeczywistości stanowi wielkie wyzwanie.”

Autor: Maurice Lemoine

Tłumaczenie: Jerzy Szygiel

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)